№ 21.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 27. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na rok talarów 8, na pół roku talarów 4, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

MIĘDZYRZECZ KORECKI i RAŚNIKI.

Z wspomnień Wołynia, Polesia i Litwy, przez J. Kraszewskiego.

. . . . . Jechaliśmy z panem Antonim pod Łuck i Dubno; a że tysiące podróżnych przedemną miało przywilej opisywać drobne zdarzenia swoich podróży i nudzić niemi czytelników, postanowiłem i ja sobie nadać tę samą wolność. Jajecznica p. Dumas w gospodzie szwajcarskiéj, warta pewno przygód mojéj podróży. Tyle jednak grzeczniejszy jestem od p. Dumas, iż pozwalam (co się i bez pozwolenia robi) przerzucać, czego się niepodoba czytać.

Do Międzyrzecza koreckiego, nic niewidziałem godnego uwagi, las, pole, pole i las. Zmierzchało dobrze, gdyśmy tu przybyli. Z daleka na prawo mijaliśmy rezydencyą dawnych panów, otoczoną drzewami — przed nami było miasto niczém się nieodznaczające — prócz kościoła Pijarów, którzy tu dawniéj sławne utrzymywali szkoły. Do nich należy kościół parafialny. Rzączyński tyle tylko wspomina to miejsce, iż na okopisku żydowskiém widział glinkę czerwoną.

Wjechaliśmy do wielkiéj karczmy murowanéj, z któréj okien widok się nam otworzył na pałac, rynek błotnisty i najwspanialszy gmach w miasteczku o dwóch obitych słupach i ganku, który się zowie balkonem. Kramy, żydzi, błoto — oto cały obraz z okna. W środku była jeszcze żydówka młoda i żydówka stara. Téj ostatniéj starałem się dawać rady skuteczne, aby gorąco upragnionego doczekała się potomstwa.

Zaczęło się chmurzyć. Pan Antoni grzał się u kominka, czekając na herbatę i jaja — angielski nasz podwieczorek. Ja czytałem napisy na oknach. Wieleżto brudów i głupstw na szybach, wiele konceptów...

Tu nocowałem, pisze jeden w r. 183 . . dnia . . . miesiąca. Zaiste, ważna wiadomość dla potomności!

— Kochana Marynia! droga Marynia. 182 . . dnia . . . miesiąc . . . Zapewne żeby za kilka miesięcy policzyć mógł, jak długo była mu drogą i kochaną Marynią.

Daléj cyfry bez końca.

Niżéj — wiele wody upłynie, nim będę tak szczęśliwą . . . . i kropki. To rozumiem. Ale na cóż zwierzać się swoich uczuć całemu światu i gdzież jeszcze? — w karczmie!

Połowy napisów czytać niemożna, cóż dopiero pisać. Najpocieszniejsze są te, którym towarzyszy polemika grubijańska. Słyszałem, że jeden właściciel huty na Wołyniu, zastawszy podobne napisy na oknach annopolskiéj austeryi, dał kilka skrzyń szkła, żeby te głupstwa zniszczyć.

Uwagi nad literaturą szybową przerwał mi pan Antoni.

— Co będziemy jedli i w co się przebierzem na miejscu, tego niewiem, rzekł śmiejąc się. Bo kuchnia nasza i tłumoki coś się opóźniają, a nawet szczerze mówiąc niewiem jak przyjdą, bo się pokazuje, że niewiedzą, w którą stronę pojechaliśmy.

— Jeść to mniejsza, zawołałem — ale ubrać się! to okropnie!

Trzeba wiedzieć, żeśmy jechali na imieniny, że ja byłem w strasznéj staréj kapocie ex-białéj i stro-

ju tak podróżnym, jak tylko sobie wyobrazić można. Ta wiadomość zatruła mi jaja i herbatę, wzdychaliśmy oba z p. Antonim i ciągle niespokojnie wyglądali na ulicę. A bryki jak niebyło, tak niebyło. Wyjeżdżając, najęty Wołyniec, niespytał, dokąd ma jechać, pojechał przed siebie i w prostocie ducha mógł Bóg wie dokąd zajechać. Niebyło go i niebyło, a wieczór i noc tuż.

Staliśmy tak rozmyślając, gdy się w błocie powóz ukazał. Pan Antoni poznał w nim ekwipaż krewnego swojego.

»Gonić! gonić!« krzyknął. Ludwik Popiel, sławnego owego króla, co to go myszy zjadły, potomek i następca, poleciał bez czapki.

»Stój! stój!« konie płoszy, zastanawia, wpada do połowy w powóz.

»Pan Dominik!?«

»Nie.«

»Jakto nie?«

»A nie.«

»Bardzo przepraszam.«

»Bardzo dziękuję.«

»Upadam do nóg.«

Uśmialiśmy się z téj omyłki, chociaż płakać się nam doprawdy chciało, oczekując zabłąkanéj bryki i tłumoków. Lecz nigdy dobry humor prędzéj nieprzyjdzie, jak gdy może być niestósownym. Po długich rozmyślaniach, zostawiwszy rozkazy i ludzi, pojechaliśmy nocą daléj.

Żeśmy nocą jechali i nic niewidzieli, nic też wam o téj cząstce drogi niepowiem. Przejechałem ją, jak Anglik Szwajcaryą, drzémiąc i niepatrząc. Pamiętam tylko, że były góry, ciemno bardzo i że mi niezmiernie do serca przypadły dwa słupy białe jakiéjś karczmy, którą niestety! musieliśmy minąć. Spaliśmy tedy aż do przeznaczonych na nocleg Raśnik. W Raśnikach — karczma zajęta. A tu noc, a tu chce się jeść i spać i odpoczywać — a tłumoków naszych niema i niema.

Wjechaliśmy jednak i weszli do żyda. Tu zastaliśmy zapach szabasu świeżuteńki, atomy łoju, pływające w powietrzu gęstém i ciepłém — a zastołem jakiegoś jegomości podróżnego w szaréj kapocie.

»Gdzież jest izba podróżna?«

»Zajęta.«

»Przez kogo?«

»Przez pana sędziego S....«

»Ja go trochę znam, rzekł pan Antoni. A może lepiéj panie Józefie, żebyś się ty przebrał po kobiecemu; może przez uszanowanie dla płci pięknéj, cieplejszéj nam izby ustąpi, lub przynajmniéj nią się podzieli.«

»Ale bez téj maskarady musi nas przyjąć,« odpowiedziałem — »idę śmiało.«

I wszedłem ze świecą. Pan sędzia spał snem sprawiedliwych sędziów, obrócony do ściany, spowinięty kołdrą, koło niego leżał tłumok, stała toaleta i et cetera podróżne. Ani się obudził nawet. My przez grzeczność poszliśmy do drugiéj izby ciemnéj. Tymczasem nastawiono samowarek na herbatę, a pan Antoni posłyszawszy szelest w łóżku sędziowskiém, odkrząknął i zaczął od —

»Bardzo przepraszam, żeśmy sen przerwali.«

»Ej, to nic,« odezwał się głos z pod kołdry, »wiadomo karczma, wolno każdemu (aksioma podróżne).« I tu nastąpiły pytania — Kto? skąd? jak? potém poufalsza rozmowa o drodze, o porze, o koniach i powozach. Pan sędzia widząc nas śmiałych i determinowanych do podzielenia z nim izby bądź co bądź, domyślił się dla posmarowania naszych stósunków, dać nam śmietanki, potém bułki. Te ofiary przyjęte zostały i nareszcie pokładliśmy się spać.

Ale nie na tém koniec naszych i sędziowskich trybulacyi.

Rano niebyło jeszcze naszéj bryki, ani człowieka, który się został, żeby ją za nami przeprowadzić. Rada ogólna i postanowienie z niéj wypadło, posłać po nią, a samym czekać. Widząc nas w takim kłopocie, a bojąc się, żebyśmy po śmietance i bułce, czego więcéj od niego niezażądali, sędzia rozumnie wybierać się zaczął bardzo rano. Służący już wyniósłszy jego tłumok, niósł jeszcze jego szkatułkę.

W tém właśnie pan Antoni obudził się i biorąc ją za swoją, odezwał się:

»Gdzież to niesiesz?«

»Do bryki.«

»Po co?«

»Po co? To moja,« rzekł sędzia struchlały.

»A to bardzo przepraszam,« rzekł pan Antoni.

Tu pan sędzia widząc, że mu już i do jego szkatułki się przypytują, gorzéj jeszcze przelękniony, co najprędzéj wybierać się i zaprzągać kazał. Potém ubrawszy się w płaszcz, pożegnał się i pobiegł do powozu. Już siadał, gdy pan Antoni przypomniał sobie, że pojedzie na Międzyrzecz i przyszło mu na myśl, wsadzić do jego powozu Popiela, aby ten poszukał jeszcze w mieście zabłąkanéj bryczki.

»Stój panie sędzio! Stój! stój!« zawołał — »ale stójże panie sędzio!«

Sędzia przestraszony jeszcze gorzéj, niewiedział co już myśleć i stanął.

»Bądź łaskaw, podwieź mego sługę do Międzyrzecza.«

»Bardzo chętnie,« odpowiedział pan sędzia — i coprędzéj, bojąc się zapewne nowych pretensyi, w konie! i uciekł galopem.

Nas tymczasem smutny los czekał: bez jadła, sukni, trzeba było czekać i czekać w karczmie, niewiedzieć dopóki. Pokładliśmy się na słomie i sztukowali dobrym humorem naszą biedę. Mieliśmy na pocieszenie daktyle i jakąś powieść Balzaka, oboje dobre na zakąskę, nie zaś na głód i niespokojność, z biedy musieliśmy je spożywać, dokładając ognia na kominek i paląc cygara, dopóki nam i one niewyszły.

Wychodziliśmy ciągle na ganek upatrując bryki — — niebyło jéj. Jak w Barbe-bleue pytał jeden drugiego.

»Panie Antoni, czy widać tam co na drodze?«

»Nic, tylko pył leci.«

»Panie Józefie, czy niejadą tam nasi?«

»Nie, żyd tylko jedzie.«

»Panie Antoni, co tam widzisz z ganku?«

»Tuman kurzu.«

»A to nasi!«

»Otoż się zbliżają, zjeżdżają z góry, zakręcają.«

»To stado bydła z rosy powraca.«

I znowu następowały pytania i zawody.

Mieliśmy aż nadto czas przypatrzeć się pięknemu dosyć położeniu Raśnik, pałacykowi za wsią odnowionemu i otoczonemu murem.

W oddaleniu leży piękne książąt Czetwertyńskich miasteczko Horyńhród. Naprzeciw zaś karczmy na górze widać mury i młyn wietrzny w Drohobużu Zawiszów, w około łęgi nadhoryńskie, góry i pola. Na chwilę przerwała nam nudy przykrém uczuciem, stara żebraczka Niemka, ze łzami w oczach, z ciężarem na plecach — stara — chora. Ona i jéj mąż szli pieszo, — koń im był zdechł. Ten widok prawdziwego nieszczęścia i nędzy, niedozwolił nam uskarżać się na zbłąkanie bryki, nudy nasze i głód, a nawet na to, żeśmy mogli imieniny w karczmie przesiedzieć.

Nareszcie i król Popiel i bryka i suknie i jadło przybyły niespodzianie z wielką naszą radością. — J. k. mość spotkał chłopa na drodze, wysiadł z pojazdu pana sędziego, ale jakby na dobitkę polecił jeszcze jemu, aby przejeżdżając przez Międzyrzecz, poszukał tam zostawionego człowieka i wysłał go do Raśnik. Czego pan sędzia, muszę mu oddać sprawiedliwość, dopełnił święcie.

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

Wychowanie młodzieży.

(Ciąg dalszy.)

7. *Publiczne wychowanie chłopców.*

c) Szkoły główne.

Celem upowszechnienia nauki prawa w kraju, została założona akademia krakowska. Nieodpowiedziawszy w téj mierze przeznaczeniu swemu, wygórowała ona wkrótce w matematyce (w czarnoksięskich sztukach), a następnie znaczny zrobiła postęp we wszystkich niemal naukach, prawo i filozofią wyjąwszy. Największe znaczenie miała akademia za Zygmunta I. i za syna jego. Wtedy to mistrzów téj szkoły, do najznakomitszych publicznych używano posług, wysyłając ich w poselstwach do obcych dworów [1]), i powierzano im wychowanie królewskich synów i znakomitych książąt [2]). Jeszcze za Stefana Batorego niemałe znaczenie miała akademia. Jéj mistrze sercem władali królewskiém, urząd kaznodziei pełniąc u monarchy [3]). Lecz już wtedy upadała jéj świetność, gdy z powodu uszczuplanych funduszów niebyło środków utrzymywania się przyzwoitego, a naród zamiast sam dać akademii należyte opatrzenie, zwalał to na obcych książąt, którzy się o koronę dobijali polską. W ugodach zawieranych z sobą przepisał naród Henrykowi Walezyuszowi, ażeby podźwignął krakowską akademią. Alfons, książę Ferary, starając się o polską koronę, obiecywał ozdobić główną szkołę uczonymi ludźmi [4]). Professorowie, sami z sobą zostając w sprzeczce, o ile niegdyś przeciwni byli mnichostwu, o tyle później sprzyjali mu, chcąc się przez to przypodobać kanclerzom swoim, krakowskim biskupom. Niedostatek uciskał tych ludzi, i niedozwalał im iść z postępem nauk. »Niegdyś do naszych szkół, mówi Jan Kochanowski [5]), jeździli cudzoziemcy, dziś zdają nam się mistrzowie prostacy, ba będą z nich po chwili Gregoryankowie (prości szkolarze).«

[1]) **Mikołaj ze Spicymirza, u Sołtyków str. 32.** [2]) **Bernard z Nissy, Jan z Głogowa, Wojciech Nowopolski, u Sołtyk. str. 38.** [3]) **Marcin z Pilzna, Stanisław Sokołowski, Marcin Kłodawita, u Bielsk., kron. str. 732.** [4]) **Bielski, kron. str. 698., 728.** [5]) **Dz. I. str. 38.**

8. *Sceny z pożycia szkolnego.*

a) Mieszkanie uczonego.

Ksiądz Grzegorz z Samborza, mistrz akademii krakowskiéj, odkazując r. 1573. przez ostateczną swą wolą suknie i sprzęty, w które się stroił za

życia, tudzież mebelki, w które ubierał swój pokoik, daje niejakieś wyobrażenie o komnacie uczonego owych wieków, a tém samém o jego zamożności. Ozdobą całą komnaty téj był obraz P. Jezusa siedzącego i dziewięciu Muz: reszta sprzętów była skromniusieńka, z prostego wyrobiona drzewa, podobna onym, które zdobiły celę księdza Skargi [1]). Siedział w swojéj izbie uczony mąż, czapkę sukienną na głowie, a na nogach pantofle mając, przed nim leżał pugilares kamienny (rodzaj dzisiejszego szyfru), a obok gąbka do ścierania [2]).

[1]) **Podług opisu Makowskiego, w kazaniu na pogrzebie Skargi.** [2]) **U Sołtykowicza str. 362.**

b) Wybryki żakowskie.

Małe chłopięta stroniły od szkoły: rózgą często się zaganiać tam musiał nauczyciel [1]). W szkołach miejskich robiła psoty doroślejsza młodzież. Nieraz uczyła się jeometryi wcale nowym sposobem, albowiem grzbietem ziemię mierzyła (gdy karę wymierzano powalonemu na ziemię uczniowi). Podczas logiki mistrz chadzał z uczniem ad absurdum (rodzaj syllogizmu): ten tego imał za włosy, a tamten go za czuprynę lub za brodę, i tak wodzili się obadwaj z kąta w kąt, aż jeden drugiego przemógł, postradawszy włosów na głowie, albo kilka zębów w gębie. Gdy nieraz chłodno bywało w szkole, przeto żacy rąbali sprzęty i niemi palili w piecu [2]); a te wybryki uchodziły im tém bezpieczniéj, gdy szkolne ławy zwykle zasiadali chłopi pod wąsem, którzy radzi oglądali się za dzieweczkami w kościele [3]), a z nocną strażą miejską czyli tak zwanymi drabami, utarczki wyprawiali po ulicach, póżno w noc do szkoły powracając z wagusów (z hulanki). Pilnując porządku w mieście drabi, łapali każdego, kto się w nocy pokazał na ulicy, i niezważając na to, czy kto był student czy szewczyk, bili obuszkami i obdzierali, czapkę zrywając z głowy, szabelkę od boku odpasując, a nawet i z pieniędzy obierając (rwąc mieszki). Karcili szkolnéj młodzieży rozpustę kaznodzieje: »Kto chce co umieć (mówi ksiądz Mijakowski) [4]), niema dospać, strzedz się ma zalotów, bankiecików, wineczka, próżnych rozmówek, które czas trawią: niema szukać wymóweczek niepewnych, ani składać niedbalstwa swego na naturę, jakoby dowcipu i głowy do nauk niedała, ale być czujnym, ustawicznie myśleć, a żarliwie pragnąć, jakobyś się czego nauczył.«

Senior przyjmując do szkoły żaka, niewpisywał go w poczet studentów (tak się bowiem radzi nazywali żaki), aż dopóki go niewybadał, czém się dawniéj bawił, czy niemiał kiedy kryminalnéj sprawy (czy niebył wpisany w publiczny rejestr), czy pilnie uczęszczać na lekcye przyrzeka, i czy będzie miał preceptora (korrepetytora).

Mieli żaki swe tradycyjne dzieje, które często sobie z upodobaniem przywodzili na pamięć: a mianowicie owo sławne zdarzenie, kiedy dnia 6. Maja 1545. wyszło ich z Krakowa do czterech tysięcy, niemogąc otrzymać zadosyćuczynienia za zniewagę doznaną od sług księdza rektora Czarnkowskiego; tudzież ową sławną wyprawę pod Byczynę, gdzie Jan Zamojski wziął w niewolę Maksymiliana cesarzewicza, pretendenta polskiéj korony (4½). Dopóki akademia krakowska w poważaniu była, mieli jakieś znaczenie i jéj uczniowie. Jeżeli kiedy było jakie nieporozumienie pomiędzy nimi a zwierzchnością szkolną, rząd krajowy starał się uprzątnąć je łagodnemi środkami. Tak ową sławną kłótnię pomiędzy rektorem akademii księdzem Czarnkowskim a uczniami wszczętą, sam pan krakowski, Jan Tarnowski, do kościoła Śgo-Franciszka zjechawszy i tam studentów wezwawszy, usiłował załagodzić [5]). Lecz napróżno. Odtąd ciągłe bywały zatargi pomiędzy uczniami a zwierzchnością tak szkolną jak i krajową. Wszelkie bezprawia popełniane w Krakowie zwalano na studentów. Przy wyprowadzaném śledztwie pokazywało się, że niejeden miejski synek, co go rozpychała puścizna, albo brukowniczek, albo jaki rzemieślniczek, albo słudzy mieszkających w mieście panów, płatali figle, a na uczniów spędzali. Wszakże niebywali bez winy i studenci sami. Łączyli się oni z uczniami szkół miejskich i dokazywali z miejską strażą, mając podostatkiem pieniędzy, których im albo własne przebiegi, albo niebaczni dostarczali rodzice. Mianowicie też żydzi mieli od uczniów wiele do cierpienia. Gdy kto dał żydowi zastaw, udawał się do studenta, ażeby ten oświadczywszy Izraelicie, że to jest własna jego rzecz nieprawnie zastawiona, odebrał ją bez lichwy, a czasem bez summy. Co komu był żyd winien, to odkazywano panu studentowi, a ten pewno wykołatał dług. Rodzice psuli synów od nauk ich odwodząc. Posyłali im piwo beczkami, posyłali listy na odbiór soli, z poleceniem, ażeby pierwsze i drugie sprzedawszy odesłali pieniądze. Sprzedał synek to i tamto, ale pieniądze stąd zebrane roztrwonił [6]).

[1]) **Gabr. Leopolita w kazaniu** *ale nas zbaw.* [2]) **Z broszury Dyalog mięsopustny z roku 1622. Rybałt stary wędrowny.** [3]) **Kiermasz wieśniacki w pieśni** *na Maruszę.* [4]) **W kazaniu kokosz.** (4½) **Wszystko dosłownie wypisano z broszur: Rybałt stary wędrowny, Mizerya szkolna.** [5]) **Bielski, kron. str. 590.** [6]) **Dosłownie z Koszuckiego** *krótka informacya.*

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O moralności dla kobiet.

Przez K. z T. H.

VI.

O doskonaleniu się.

(Ciąg dalszy.)

Nic uczynić niepotrafisz ku udoskonaleniu twojemu jeśli panować sobie saméj nieumiész; jeżeli mowa, uczucie, postępki twoje są na zupełną wolę puszczone. Lada wiatr obali, od lada upału uschnie drzewo, które silnie w ziemię wkorzenione niejest; burza najsroższa, gromy nawet tęgiego niezachwieją dębu; nic téż, ani pokusy, ani niedola, ani pomyślność niepokona tego, który nad sobą panuje. Moc nad sobą jest najlepszą rękojmią udoskonalenia człowieka, prawdziwym patentem swobody dla duszy. Ale trzeba ją miéć tak w wielkich jak w małych rzeczach, niechować na rzadkie i wydatne walki, lecz codzień do drobnych i nikomu nieznanych jéj używać. — Niechce ci się wstać rano, uwaga twoja od modlitwy odbiega, starania gospodarskie cię nudzą, zraża cię trudna i niemiła praca, gniewają natrętne odwiedziny, dokucza ci ból jaki, masz chętkę dotknąć kogo dowcipném słówkiem, korci cię zwierzony sekret małéj wagi, lękasz się koni, grzmotów, wiatru, kupujesz co ci się tylko podoba, i t. p. Wszystko to są rzeczy drobne na pozór, ale umiéj i w tych się przezwyciężyć; przeciw tym słabościom małéj wagi, użyj mocy nad sobą; niemów: »czyż to warto?« codzienne szczęście twoje na tém zyska, postąpisz w udoskonaleniu, moc twoja na mało znaczących nieprzyjaciołach zahartowana, w razie silniejszych pokonać zdoła.

Drugim środkiem do udoskonalenia się jest unikanie wszelkich sposobności do złego, wystrzeganie się osób, domów, zabaw, rozmów, książek, któreby w nas obudzały naganne skłonności. Niepozwalajmy sobie nigdy tych słów pełnych pychy: »To mnie niezaszkodzi,« zła pora dla najdoskonalszego z ludzi początkiem bywa błędów i win. Zwierzę nieme i bez duszy unika tego co mu jest szkodliwém; gdzie raz uszczerbek poniosło, już tam nieidzie, a człowiek miałby niewystrzegać się, niepilnować, i doświadczywszy raz złego, jakby wracać po nie. Ten jedynie idzie drogą udoskonalenia, kto powodów do winy się strzeże, kto miłuje niebezpieczeństwo i w nie się wdawa, w niém ginie.«

Skutecznym także środkiem do udoskonalenia się jest zbawienny zwyczaj częstego badania sumienia. Nikt niezachowa się czystym, kto czuwać nad sobą i rachować się z sobą samym niebędzie. Już powiedzianém było sumienie, ów głos duszy do wielu osób przy piérwszém ocknieniu ze snu najsilniéj przemawia; ale bądź w téj, bądź w innéj chwili, należy sobie upatrzyć codzień parę momentów, na zastanowienie się nad sobą; rano powziąść chęć szczerą panowania sobie, wystrzegania się złego, postąpienia w dobrém; w wieczór wypytywać się saméj siebie czy dotrzymane postanowienie? uchybienia zaś, naprzód żalem, potém poprawą nagradzać. »Nadobny to rachunek — mówi poczciwy Rej — kto idąc na pokoik swój sam z sobą poczet uczyni, co dnia tego przystojnego a co nieprzystojnego uczynił.« Jako ten co w podróż wodą się puszcza, opatruje pilnie łódź swoję, a zatrzymując się czasami, ogląda czy jakiego sporządzenia nietrzeba, tak i my płynąc po morzu życia tego, czuwajmy troskliwie, wglądajmy w samych siebie, a co się zepsuło, naprawiajmy bez zwłoki. Tę ostrożność do każdéj szkody moralnéj, choćby mało znaczną była, zachowujmy ściśle. Najmniejszą wadę, najmniej naganny nałóg lub uczucie, skoro postrzeżemy w sobie, wytępiajmy natychmiast, jeźliśmy o udoskonalenie nasze troskliwi: »Małe złe jest jako klin, który na początku małą rozpadlinę uczyni, a potém za powtarzaniem uderzenia rozedrze drzewo.«

A prócz tego wpatrywania w siebię w przeznaczonych na to momentach, chwytajmy skwapliwie owe pomyślne i jasne chwile, które niekiedy dla każdego z myślących błyskają. Są takowe i zwykle po jakiémsiś moralném wstrząśnieniu nadchodzą, kiedy objawia nam się wyraźnie ów l e p s z y j a, który jest jakby typ doskonałości nam wymierzonéj. Wtedy widziemy samych siebie na wysokim stopniu moralnym, widziemy siebie takiemi jakiemi moglibyśmy być przy ciągłéj a rozsądnéj pracy; wtedy powstaje w nas chęć nadzwyczajna do spełnienia dobrego, siła potężna do pokonania złego; powinności nam właściwe kiedy indziéj nietyle widoczne układają się koleją przed oczyma naszemi, nasuwają się nam sposoby do spełnienia najtrudniejszych, ukazuje nam się dobra strona najmniéj powabnych, czujemy w sobie moc kochania, poświęcenia siebie niepojętą, jakąś dumę i pokorę razem, czujemy jakby rozwarcie nieba nad nami. Jak niepewny w czasie nocnéj burzy wędrownik z światła błyskawic korzysta, aby dobréj dopatrzył drogi, tak my korzystajmy z tych błyskawic ducha naszego, a choć chwila zapału minie, spełniajmy wszystko dobre które nam wtedy ukazane zostało, utrzymujmy się ile sił na tym sto-

pniu wysokości moralnéj a postępować będziemy wielkim krokiem w udoskonaleniu.

Te jasne i błogie chwile zjawiają się najczęściéj po owych nieszczęsnych godzinach, kiedy bądź przez nieuwagę dopuściliśmy złemu wziąść górę w duszy naszéj, a uznawszy z pokorą upadek nasz dźwignąć się chcemy koniecznie; bo nieraz powtarza się to w nas w podobieństwie, co nam ewanielia o Zbawicielu na puszczy opowiada: Skoro zgromił ducha złego, który go kusił »oto zaraz aniołowie przystąpili i służyli mu.« Tak i w nas słabych istotach, skoro odepchniemy złe myśli, natychmiast przystępują dobre natchnienia, służą do ulepszenia naszego.

Nakoniec, pewnym środkiem do doskonalenia się może być pamięć na krótkość tego życia i jego niepewność. Niejedną z nas ogrom pracy choćby najpożyteczniejszéj zrazićby gotów — ale tu o tak mało idzie. Życie nasze na téj ziemi dzieli się na pory, pory na lata, lata na dnie, dnie na chwile; nieżyjemy w tém co minęło, gdyż przeszłość na zawsze zgubiona, nieżyjemy w tém co będzie, bo któż nam za dzień jutrzejszy zaręczy; jedyną przeto własnością naszą jest dzień dzisiejszy, chwila obecna. Idzie zatém jedynie o to, żeby dnia dzisiejszego, chwili obecnéj jak najlepiéj użyć; żeby tylko dziś, teraz, mieć moc nad sobą, unikać sposobności do złego, uważać na siebie, chwytać dobre natchnienia. A cóż prędzéj mija jak dziś i teraz? czyż tak trudno walczyć przez dzień jeden, przez jednę chwilę? Niezaiste; a przecież tego jedynie do udoskonalenia naszego potrzeba. Dajmy sobie tylko słowo, że każdego dnia, każdéj obecnéj chwili zbawiennie użyjemy, że każdego dnia będziemy się starały być lepsze niż byłyśmy wczora; dotrzymajmy obietnicy; według słów Pawła Św. »czyńmy dobrze na każdy dzień, dopóki się dzisiaj nazywa« a spłynie dla nas nieznacznie chwila za chwilą, dzień za dniem, rok za rokiem, pora za porą, usnuje się jakby z niechcenia pasmo dobrze użytego życia, ulatwi się wykonanie cnoty, powiedzie się edukacya prawdziwa, powstanie w sercu naszém błoga o przeszłości spokojność, słodka o przeszłość nadzieja. Bo kto w każdéj chwili wypełnia ile tylko może najlepiéj powinności i obowiązki jakich ta chwila po nim wymaga, kto zawsze ku dobremu wolę swoję natęża, a ciągle ze złém walcząc ciągle o udoskonalenie swoje się stara, ten choćby żył najdłużéj, spokojnym o cały szereg spłynionych lat być może, i rokować sobie na dal najpomyślniejsze nadzieje; gdyż ten, wykonywa prawo podane mu od Boga, ten pewnym krokiem idzie drogą moralności ku szczęściu prawdziwemu, a idąc wypełnia cnotę.

(Dalszy ciąg późniéj nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Muzyka u Chinczyków. Wszystko u Chinczyków zastanowiło się od wieków, bo już w najdawniejszych czasach we wszystkich gałęziach życia publicznego stanęli przed innemi narodami na najwyższém szczeblu wykształcenia. Teraz w Chinach wszystko okamieniało. Jako ich państwo mur, tak ich urządzenia otacza zakaz, odpierający wszelką cudzoziemskość bez różnicy. Wszystkie szutki i umiejętności nie u nich powstałe są znienawidzone i pogardzane. Chinczykowie jeszcze utrzymują, iż oni tylko dwoma oczyma widzą, Europejczykowie jednêm okiem, inne zaś narody całkiem są ociemnione. Lubo ta duma narodowa śmieszną się być wydaje, polega jednak na przekonaniu, iż najważniejsze odkrycia i wynalazki od nich wzięły początek. A lubo siła twórcza i doskonaląca dawno w nich wygasła i we wielu rzeczach cudzoziemcy ich wyprzedzili, to jednak zapatrując się na przeszłość cieszą się swą przewagą lubo i swéj przeszłości przed teraźniejszością pierwszeństwo nadają. Ostatnie ściąga się szczególniéj do muzyki. Nasza muzyka ich przeraża. Utrzymują, iż tylko dla ucha jest utworzoną, gdy tymczasem ich własna przez ucho do serca i duszy wnika, czucie obudza i w niém trwa długo. Powiadają, że dawne ich pieśni daleko głębszy wywierały wpływ. Wiedzą o tém z historyi jakie dziwy we wszystkich czasach ona wywierała, i odtąd cały urok cudowności straciła. Ta wiara w cudowność muzyki w starożytności utrzymuje się u wszystkich narodów, tak u Chinczyków jak u Greków. — Zresztą dowiedzioną jest rzeczą, że muzyka w Chinach od niepamiętnych czasów kwitła i była przedmiotem ulubionym rządców i mandarynów. Od założenia monarchii doszła do najwyższego zaszczytu i jako sztuka i jako umiejętność. Więcéj czcić niemożna muzyki jak Chinczykowie. Nietylko ją uważają za sztukę piękną, która w ich piersi wiosenne uczucia wzbudzić jest w stanie — ale jeszcze za umiejętność, która na zasadach piękności i prawdy polega i na prawidłach pewnych matematyki jest zbudowana. Dla tego nazywają sztukę muzyki najwszechniejszą umiejętnością i matką wszystkich innych. Chinczyko-

wie dali początek powszechnemu systematowi muzyki, z którego inne wyprowadzono później. Piérwszy zarys do niego znajdujemy w księgach ich historycznych na 2637 lat przed Chrystusem, krok w krok postępował z matematyką i nadzwyczaj odznaczał się licznemi kombinacyami. Starożytność téj umiejętności muzycznéj jest dowiedzioną i okazuje, że Chinczykowie dawno przed Pitagoresem i egipskiemi kapłanami znali podział oktawy na 12 półtonów, które 12 Lu nazywali i że rozróżniali major i minor. Tym sposobem doszli do nauki harmonii, która u nich była już udoskonaloną, kiedy Pitagores w Grecyi dopiero system głosowy oktachordonu wynalazł. Chinczykowie posiadają także myty muzykalne, jak Grecy i inne narody, tylko z tą różnicą, że są dawniejsze; Orfeusz, Linus i Amfion zdają się być tylko naśladowaniem Chinskich cudotwórców Lingluna, Ronci i Pinomonkia, którzy też same cuda bajeczne przed 4000 lat dokonywali na dzikich zwierzętach i na nieukształconym rodzaju ludzkim. Na 1000 lat przed Orfeuszem żył sławny muzyk Ronci, który na instrumencie King, z brzmiących kamyczków utworzonym, tak cudowne wydobywał tony, iż kamienie tańczyły, dzikie zwierzęta oswajały się. Słysząc go sławny filozof Konfucyusz, niemógł przez 3 miesiące o niczém inném myśleć jeno o pieśniach Roncego i dla nich zaniedbał filozofii, ba nawet i o potrzebach swoich codziennych. — Chinczykowie utrzymują, iż za pomocą muzyki są wstanie, ludzi do cnoty naprowadzić i do wykonywania swych powinności. Typ ich muzyki jest prosty i pełen harmonii i ma podobieństwo z naszą kościelną muzyką. Ich sztuka tonów zdaje im się za wzniosłą i za świętą, aby ją mogli pohańbić lekkiemi melodjami. Chinczykowie więc nieznaleźliby upodobania w europejskiéj nowszéj muzyce, która wszystkie effekty aż do najwyższego szczytu posunęła i chce przez excentryczność swoją dosiądz tych wpływów, które tylko wzniosłéj pojedyńczości są właściwemi.

P o l e m i k a p o l s k o - a r a b s k a p r z e c i w c h r z e ś c i a ń s t w u. Między rękopismami w uniwersyteckiéj bibliotece w Lipsku znaleziono zajmującą osobliwość. Prof. Fleischer, orientalista, odkrył arabski rękopism wcale niezrozumiały, bo arabskie litery czytane niewydawały żadnego dyalektu semityckiego. Poznał nakoniec za pomocą p. Sokolnickiego, Polaka, że wszystko napisaném było po polsku arabskiemi literami. Pojedyńcze zdania z starego i nowego testamentu są złośliwemi objaśnieniami otoczone; zdaje się, iż dziwny ten rękopism z czasów pochodzi, kiedy Tatarzy w sąsiedniéj Rusi panowali. Mahometański zagorzalec, Jbn Abdallah, wyjątki zapewne poczynił z polskich książek do nabożeństwa, użył do polemiki przeciw chrześciaństwu i obrał ten rodzaj ułudy, aby go nieodkryło duchowieństwo. Może otrzymamy bliższą wiadomość o treści i początku tego dziwnego rękopismu.

S z c z e g ó l n i e j s z y p o j e d y n e k odbyto niedaleko Pirmontu. Jeden z pojedynkujących się stał na ziemi pruskiéj, sekundant na lippeskiéj, przeciwnik na waldeckiéj, a jego sekundant na hanowerskiéj; kule zaś przeleciały w posiadłość brunświcką. Chociaż to brzmi zagadkowo, to jednak pojedyńczo się rozwiąże, jeżeli dowiemy się, iż pojedynek ten na pistolety odbyto na pięciu granicach tam się schodzących.

C z e s c y m u z y k a n c i osadzili prawie wszystkie orkiestry Europy i zaeuropejskie. W Filadelfii nawet pierwsze głosy w operze odgrywają, a według gazet New-Jorkskich i Bostońskich, w Nowym-Jorku cała orkiestra w najpierwszym teatrze osadzona jest Czechami, począwszy od Dyrektora aż do bębenisty, a w Bostonie trzech jeno jest miejscowych, reszta sami Czesi. Dyrektor muzyki w Bostonie nazywa się Hnogolczil, jeszcze przed dwoma laty był w Pradze.

S z y b k o ś ć n i e j e s t c z a r o d z i e j s t w e m. — Dziwią się szybkości, z jaką dzienne zdarzenia przenoszą w Paryżu poeci w vaudevile, i zanim przedmieścia o nich się dowiedzą, już je na teatrach odgrywają. Amerykanie północni przewyższają ich jeszcze szybkością. Przeszłego roku zabrano w Nowym-Jorku okręt rozbójniczy, a po czterech dniach odegrano melodramat z nowemi dekoracyami i maszyneryą, który to zdarzenie przedstawiał. To nazywa obywatel północnéj Ameryki doing basiness.

A n g i e l s k i e m a c h i n y. Obrachowano w Anglii, iż za pomocą machin, używanych w fabrykach bawełnianych, jedna osoba wyrabia za 150. Najmniéj 280,000 osób jest zatrudnionych tym przemysłem, przed wynalezieniem więc tych machin potrzebaby było 42 milionów ludzi do uskutecznienia téj saméj pracy. Gdyby w tym przypadku płacono jeno 1 szylling na dzień, wypadłoby zapłacić na rok za pracę 18 miliardów 900 milionów frank.

K a p r a l. W czasie amerykańskiej rewolucyi, zbliżył się na koniu pewien oficer po cywilnemu ubrany do oddziału żołnierzy, który zatrudniony był sypaniem szańcu. Dowódzca tego małego oddziału wydawał rozkazy swym podwładnym, aby belkę zatoczyli na szaniec. Belka była ciężka, a dowódzca ciągle to w lewo to w prawo komenderował. Oficer rzeczony widząc, iż niepodobna aby

tych kilku ludzi zatoczyło belkę, wstrzymał konia i zapytał dla czego rozkazujący jéj się nieima. Dziwiło to zapytanie ostatniego i nie bez dumy zwrócił się do oficera i odpowiedział: »czy pan niewidzisz że jestem kapralem?« »Prawda«, uśmiechnął się oficer, »przebacz mi, niewiedziałem tego,« potém zesiadł z konia, uwiązał go u drzewa i pomógł żołnierzom zatoczyć belkę na szaniec. Skończywszy w pocie czoła pracę, rzekł nieznajomy: »panie dowodzący kapralu, przysyłaj po twego naczelnego wodza, wiele razy podobną pracę będziesz miał uskutecznić, ja ci i po drugi raz dopomogę.« Kapral stanął jakby piorunem rażony. Jeźdźcem był — Wasyngton.

MODY. — Paryż, dnia 20. Maja 1840. — Na ostatnim świetnym koncercie ujrzano wiele pięknych strojów, szczególniéj odznaczały się kapelusze krepowe. Osobliwością można było nazwać biały kapelusz, który miała na głowie pewna Angielka, zdobiły go angielskie koronki, a pod obwodem girlandka z fijołków.

W Longchamps falbany zaimponowały, noszą je w najrozmaitszy sposób.

Kształt rękawów na pół obszernych utrzymuje się, lubo i obcisłe tu i owdzie się ukazują; częścią są l'amadis i o dwóch szwach, to jest u tkanin ciężkich i grubych, np. aksamitu, nankinu i t. d., częścią na ukos krojone, o jednym szwie, tak iż kilka fałd na ramieniu się tworzy.

Suknie z nankinu są na sposób polski jedwabiem haftowane lub sznureczkiem oszyte; do sukien obcisłych potrzeba koniecznie dodać guziczki.

W tych dniach przejeżdżała obok mnie młoda Dama, mająca na głowie krepowy kapelusz koloru żółto-cytrynowego, w kształcie bibi, u góry girlandką z bzu i róży wystrojony, a pod obwodem też same kwiaty mieszały się z włosami.

Jéj suknia grodenoplowa koloru liliowego osadzona była z przodu rzędem okrągłych grubych guzików, około których osadzone fręzle koloru sukni. Obcisły angielski stanik nieco sztywny i w okrąg cięty tworzył na ramionach dwie fałdy. Rękawy u niego były obcisłe i w ukos krojone.

Druga obok siedząca Dama miała kapotkę z białéj krepy zdobną wielkiém liściem z aksamitu.

Suknia koloru kurzawy była osadzona trzema paskami, po niéj pstry rzucik z włosów kozich. Paski te coraz się zwężały, trzeci wznosił się w górę w kształt tuniki i kończył się u stanika obcisłego w kształt V. Rękawy były na pół obszerne.

Wiele się podobają małe płaszczyki; wyglądają malowniczo. Wystawić sobie trzeba dużą pelerynę z czarnych koronek w okrągłe liście, które opadają z przodu na pół ciała, i w rozmaitych odcieniach, szczególniéj fijałkowo są podbite. Naokoło są spłaszczoną bufką osadzone, i dwie podobne kokardy nad łokciem ślicznie opadają na ramiona.

Szale muślinowe haftowane, podbite tkaniną kolorową i wystrojone szerokiemi koronkami najliczniéj się ukazały w Longchamps. Czworokątnie krojone szale z kitajki czarnéj, osadzone koronkami, szczególniéj się podobają i biorą do negliżu. Widziano także szkockie szale: jedne, w których kolor biały przeważał, miały garnitur z białych koronek, inne w ciemnych kolorach były osadzone czarnemi koronkami.

Włoskie słomkowe kapelusze jeszcze się nieukazały; pierwsze składy modne gotują w cichości ich kształt i dopiero za pół miesiąca powiemy, czyli włoskie słomkowe kapelusze będą wielkie lub też bibis. To jednak przewidzieć można, że wiele ich nastanie.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór ślubny. Pojedyńczy strój na głowie z wianeczka róż i myrtu złożony. Z tyłu u włosów osłona koronkowa umocowana. Suknia z linonu o dwóch falbanach, z przodu do dołu w kształt fartuszka haftowana, po bokach różami i myrtem osadzona. Stanik gładki. Rękawy z falban kończato ujętych, ku górze idą falbanki w kierunku przeciwnym. Krótkie rękawiczki zdobne bufkami wstążkowemi.
2. Kapotka krepowa z gałązką winną. Szlafroczek z tkaniny różnowzorowéj, stanik gładki, rękawy obcisłe osadzone ku przodowi bufkami i guzikami świecącemi. Szal jedwabny z długa fręzlą.
3. Kapelusz jedwabny ozdobiony bufkami i słaniającém się piórem. Szlafroczek jedwabny z pelerynką, osadzony w kształt wachlarzyków.
4. Ubiór mężczyzny. Frak z długiemi okrągłemi połami, kołnierz szalowy, obcisłe rękawy i świecące guziki u niego. Pantalony obcisłe. We wzory kamizelka i krawat.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

21.